

Olaf Tumski
U ŹRÓDŁA

OLAF TUMSKI

U ŹRÓDŁA

© Copyright by Olaf Tumski & e-bookowo

ISBN 978-83-62480-15-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny:



Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2011

[Kup książkę](#)

PROLOG

Obudziło ją ciepłe światło. Przewróciła się na drugi bok, schowała głowę pod koc i zamknęła oczy. Tylko tak mogła odizolować się od blasku. Była już pora aktywności, ale ona nie miała sił. Mimo fizycznej gotowości, jej umysł odmawiał współpracy.

Nie sądziła, że to będzie tak wyczerpujące. Za pierwszym razem nie odczuła żadnego zmęczenia. Wtedy jednak był zupełnie inny przypadek. Wówczas nie chodziło o nią, nie była w takiej sytuacji, nie walczyła. Przede wszystkim nie miała świadomości, co się dzieje. Tak jest łatwiej. Żadnych obciążeń psychicznych. Teraz wiedziała, jaka jest stawka i jak niewielkie są szanse powodzenia jej planu.

To, na co się zdobyła, mimo całej swojej niesamowitości, może okazać się niewystarczające. Musi zrobić coś jeszcze. Znaleźć pomocnika. W grę wchodziła tylko jedna osoba. Problem polegał na tym jak nawiązać kontakt. Wcześniej miała pewien pomysł, który odrzuciła, jako bezsensowny. Właściwie, dlaczego? W tej sytuacji określanie czegoś, jako sensowne lub bezsensowne, nie ma sensu.

Ta myśl spowodowała przypływ nowych sił. Odrzuciła koc i podniosła się.

ROZDZIAŁ 1

Czy można zakochać się w kobiecie, której nigdy nie widziało się na oczy, z którą nigdy nie zamieniło się nawet jednego słowa, nie mówiąc już o smaku pocałunku, elektryzującym dotyku ciała, aromacie intymnych zakątków.

Czy możliwe jest wzbudzenie uczucia i fascynacji wobec kobiety, której fizycznie nie ma, bowiem istnieje jedynie na zadrukowanych kartkach książki, jako postać fikcyjna, a jednocześnie odnosi się wrażenie jakby naprawdę była, oddychała tuż obok, pachniała, mówiła, przechadzała się kołysząc swoim ponętym ciałem.

Jeszcze w na początku maja uśmiechnąłby się tylko z lekkim współczuciem wobec kogoś, kto popadł w taki nastrój i zaleciłby kontakt ze specjalistą oraz jak najszybsze podjęcie terapii. Tak postąpiłby, zanim przeczytał książkę, ale teraz była druga połowa czerwca, a sprawa dotyczyła jego samego, będącego już po lekturze, która sprawiła, że zaczął popadać w szaleństwo i nie potrafił powstrzymać tego procesu.

W pierwszych dniach maja wysłano go w dwudniową delegację służbową, w tym w sumie dziesięć godzin w pociągu. Potrzebował czytań, które pomoże mu przetrwać długie, nudne godziny w przedziale, oderwać się od kolejowej rzeczywistości i współpasażerów różnego typu. W księgarni zajrzał na półkę z nowościami. Znalazł tytuł, który dopiero, co wyszedł z drukarni. Przystępna cena dodatkowo zachęcała. Zdziwił się trochę, że autorem książki, w której jako narrator występowała kobieta w średnim wieku, był mężczyzna, aczkolwiek mógł to być sprytny wybieg marketingowy, męski pseudonim pisarki. Niewykluczone, że był to jednak facet, który lubił bądź chciał pisać o kobietach licząc, że w potoku literatury na księgarskich półkach przykuje to uwagę czytelników bądź czytelniczek, najlepiej jednych i drugich. Notka z tyłu okładki informowała ogólnie, że dwie bohaterki, dzięki tajnej miksturze odnajdują przejście do innego wymiaru, pełnego wiedźm, czarnoksiężników, strzyg, elfów, widm, upiórów i innych przyjaznych gatunków.

Początkowo jej postać wydała mu się banalna. Autor nadał jej imię Weronika. Milutka, ładna dziewczyna, entuzjastycznie podchodząca do tajemniczej

wyprawy, w przeciwieństwie do starszej, czterdziestoparoletniej Luizy, narratorki powieści, kobiety po przejściach, która mogłaby być jej matką i w gruncie rzeczy pełniła rolę opiekunki, nauczycielki i duchowej przewodniczki. Niekwestionowana liderka tego tandemu, która wiedziała, czego chce i jak tego dokonać.

W miarę zagłębiania się w treść młoda bohaterka zyskiwała na wyrazistości, szybko uczyła się od starszej tajników nieznanego wymiaru, magicznych zaklęć pozwalających uwolnić z ludzkiego umysłu siły umożliwiające transwymiarowe podróże.

W drodze z Poznania do Gdańska przeczytał połowę książki. Ocenił, że nie jest to rewelacja, powieść, o której zapomni zaraz po przeczytaniu, ale nadaje się, jako wypełniacz czasu.

Pociąg wyjechał z Poznania wczesnym rankiem, do Gdańska przybył około południa. Reszta dnia przebiegła pod znakiem spotkań i konferencji, zakończonych służbową kolacją. Wieczorem w hotelu nie miał już czasu na czytanie ani na nic innego. Małe piwko i zasnął w mgnieniu oka jakby dostał narkozę. Drugiego dnia od rana kontynuował spotkania służbowe, zjadł obiad i dotarłszy na gdański dworzec kolejowy ruszył w drogę powrotną. Nie od razu zabrał się za czytanie, najpierw zdrzemnął się trochę. Za Tczewem obudziło go szturchanie konduktora domagającego się biletu. Kawa z termosu pomogła mu odegnąć pozostałości sennego stanu. W podróż pociągiem zawsze zabierał ze sobą kawę w poręcznym, półlitrowym termosie. Nie miał zamiaru korzystać z paskudnej lury serwowanej w Warsie, a poza tym zawsze podróżował sam i wolał nie pozostawiać swoich rzeczy w przedziale.

Posilony kawą zabrał się za dokończenie lektury. Budowana w pierwszej części akcja, zapowiadająca ciekawe i niesamowite odkrycia bohaterek, znacznie straciła na atrakcyjności. Magiczno-baśniowy wymiar okazał się nad wyraz standardowy, banalny i powielający wyeksponowane schematy. Wiedźmy i czarnoksiężnicy nie wyróżniali się niczym oryginalnym, a szczerze mówiąc sprawiali wrażenie żywcem skopiowanych z innych powieści. Nie wspominając już o tym, że nie wywoływali grama przerażenia i jakiegokolwiek zainteresowania. Podobnie reszta zjaw. Oceniał całość, jako czytało niskiej klasy.

Bohaterkom udało się wejść do wymiaru magii dzięki wywarowi z czterolistnej koniczyny, która okazała się również przydatna w obcym świecie albowiem pomogła przywrócić zachwianą równowagę między siłami białej i czarnej magii. Kobiety przyswoiły sobie właściwości, niedostępne w ziemskim,

powszednim świecie, aby tak wzbogacone mogły powrócić o wiele potężniejsze od zwykłego śmiertelnika. Swoje umiejętności zamierzały wykorzystywać na własny użytek, a także, aby nieść pomoc innym. Wszystko ma jednak swoją cenę. W tym przypadku była nią Weronika. Musiała na zawsze pozostać w magicznym wymiarze, jako rekompensata, a jednocześnie gwarancja, że nie zostanie zdradzone miejsce pochodzenia mocy oraz droga do wymiaru. Krótko mówiąc stała się zakładniczką. W zamian zapewniono jej opiekę i pozycję w hierarchii nowego świata. Luizie żal było młodszej koleżanki, polubiła ją i zaprzyjaźniła się, ale Weronika przekonywała ją, że jest na wszystko gotowa, a poza tym zauroczył ją świat znany dotąd z baśni i legend, chciała w nim zostać i zacząć nowe życie, w przekonaniu, że starsza wniesie do smutnego ziemskiego świata odrobinę ożywczej magii. Mieszkańców krainy magii zamierzała nauczyć jak hodować koniczynę i przyrządzać z niej miksturę.

Ze łzami w oczach poprosiła tylko, aby Luiza pożegnała od niej ukochanego chłopaka. Powiedziała, aby nie martwił się o nią. Myślami zawsze będzie przy nim. Luiza wróciła do naszego świata, a każda napotkana koniczynka przypominała jej o Weronice.

Pociąg wjeżdżał na peron Dworca Głównego w Poznaniu, kiedy doczytywał ostatnie zdania. Z ulgą zamknął książkę, wyrzucając sobie, że niepotrzebnie wydał pieniądze. Wrzucił książkę do torby, wysiadł z wagonu i jak najszybciej opuścił dworzec. Głupia książka – myślał sobie – mało oryginalna.

Dlaczego więc nie mógł o niej zapomnieć?

Nie o samej powieści, ale o dziewczynie, która została w innym świecie.

Jadąc taksówką do domu czuł klucie w mostku, w żołądku i na skroniach. Nie były to dolegliwości chorobowe. Towarzyszyło mu współczucie i żal dla Weroniki, zupełnie jakby przeczytał prawdziwą historię, reportażowy zapis wydarzeń, które naprawdę miały miejsce.

W mieszkaniu zjadł skromną kolację i położył się do łóżka. O spaniu nie było mowy. Nieustannie wracała w myślach dziewczyna z książki. Na nic zdało się skupianie uwagi na czymś innym, próby wyciszenia umysłu, piwo i jeszcze jedno piwo. Do głowy cisnęły mu się zapamiętane cytaty i opisy. Jej słowa, nakreślony wygląd i zachowanie. Zdawał sobie sprawę, że to absurd, ale wściekał się na autora książki za tak niesprawiedliwe zakończenie. Chłopak Weroniki, gdy dowiedział się o jej losie, pogodził się z tym i zadowolił się przekonaniem, że jego dziewczyna jest szczęśliwa, gdzieś w odległej krainie nie z tego świata. Maciej uznał go za żalosego debila. A Luiza? Powinna była

walczyć o Weronikę albo zostać zamiast niej. Ta wyprawa to był jej pomysł. Ona namówiła Weronikę.

Nastała głęboka noc, kiedy wymęczony rozmyślaniami wreszcie zasnął.

W kolejnych dniach było podobnie. Nie mógł uwolnić się od natrętnego wrażenia, że utracił kogoś bliskiego. Wyobrażał sobie, że to on jest bohaterem książki i wyciąga ją ze świata magii, wyrwa z rąk tamtych istot, aby mogli być na zawsze razem. Przeczytał książkę jeszcze raz, później czytał fragmenty z udziałem Weroniki, dialogi, opisy jej wyglądu. W uszach niemal słyszał pożegnane słowa, jakie wypowiada na zakończenie powieści. Czytając czuł, że jest odrobinę bliżej niej, a jednocześnie towarzyszył mu narastający żal, że jest to tylko złudzenie bliskości.

W Internecie poszukiwał informacji o książce i autorze, który okazał się późnym debiutantem. Czytał streszczenia, recenzje. Książka była oceniana bardzo różnie, przy czym przeważały krytyczne opinie, zaś entuzjastycznych nie znalazł żadnych, co najwyżej ktoś napisał, że można przeczytać i tyle. Ogólnie nie cieszyła się wielkim wzięciem. Dokopał się krótkiego wywiadu z autorem, który okazał się jednak mężczyzną. Nazywał się Albin Kowalik i przez wiele lat pracował, jako nauczyciel geografii. Dwa lata temu porzucił tę profesję. Czym zajmował się obecnie, z czego się utrzymywał, tego nie ujawnił. Nie chciał również zdradzić czy będą kolejne powieści. Wreszcie na jednym z portali poświęconych fantastyce pojawiła się informacja o spotkaniu, które ma odbyć się w Poznaniu, w pubie Ameba, przy ulicy Piekary, z udziałem trzech miejscowych autorów książek o tej tematyce, w tym tego, którego poszukiwał.

Na spotkaniu usiadł w drugim rzędzie i przez pierwszą część uważnie obserwował pisarza. Mógł mieć około pięćdziesiątki albo może trochę więcej. Czerwonawa, zniszczona twarz i zmęczone oczy, nie wiadomo – pracą, życiem lub tym spotkaniem, utrudniały dokładne określenie wieku. Włosy koloru lisiej sierści, gdzieś tam ozdobione już były srebrzystymi pasemkami. Przyszło najwyżej kilkanaście osób. Spotkanie miało jałowy przebieg. Właściciel dwoił się i troił, aby ożywić atmosferę i zachęcał do zadawania pytań. Ucieszył się widząc uniesioną w górę jego rękę.

– O chcesz zadać pytanie. Jak masz na imię? – mówił do wszystkich na ty licząc, że dzięki temu klienci poczują się jak w u siebie w domu.

– Maciej.

– Maciek. Świetnie – entuzjasmował się prowadzący. – Proszę. Do kogo kierujesz pytanie Maciek. Wspólne do wszystkich trzech autorów ...

– Nie, do pana Albina Kowalika – uprzedził Maciej. Spojrzał z niechęcią na gospodarza. Nie cierpiał zdrobnienia swojego imienia. – Dlaczego nie chce pan napisać kontynuacji swojej ostatniej książki?

Kowalik początkowo zachowywał się tak, jakby pytanie nie padło pod jego adresem. Ociągając się odpowiedział leniwie, że stworzył powieść, która ma swój początek i koniec i jako taka jest sfinalizowana. Nie widzi sensu dopisywania kolejnej części.

– Dlaczego nie stworzyć historii o tym jak Weronika wyrwa się z wymiaru magii i powraca do naszego świata? – upierał się Maciej.

– A po co? – odburknął Kowalik. – Weronika chciała tam zostać.

– Z książki nic takiego nie wynikało – nie ustępował Maciej. – Dawało się wyczuć jej żal, że już nigdy nie zobaczy ukochanego.

– Z ukochanymi tak w życiu bywa – stwierdził niezbyt oryginalnie Kowalik. – Uznałem, że w wymiarze magii będzie jej lepiej – zakończył temat.

Maciej nie odezwał się więcej podczas spotkania. Padło jeszcze kilka ogólnych pytań i ogólnych wypowiedzi o literaturze, a potem wszyscy zajęli się już konsumpcją piwa przyprawioną rozmowami o sporcie, seksie i filmach. O literaturze szybko zapomniano.

Kowalik dopił swoje piwo, które sączył podczas spotkania i zaczął zbierać się do wyjścia. Maciej podążył za nim i zatrzymał go przed drzwiami wyjściowymi.

– Nazywam się Maciej Sosnowski – przedstawił się kompletnie. – Chciałbym pana przekonać do zmiany zdania i napisania kontynuacji książki – mówił, patrząc Kowalikowi w oczy życzliwym wzrokiem.

Pisarz westchnął ciężko i zmarszczył obwisłe policzka.

– Mówiłem już, że nie planuję kolejnej pozycji. Cieszy mnie, że książka tak pana poruszyła, ale to była moja jednorazowa przygoda literacka. Życzę wszystkiego dobrego.

To mówiąc chwycił za klamkę, ale Maciej pozwolił tak łatwo się zbyć.

– Ta dziewczyna zasługuje na lepszy los, młoda, inteligentna i pełna życia, seksowna...

Kowalik po raz pierwszy przyjrzał się Maciejowi z większą uwagą. Utkwił w nim wzrok i wycelował pulchny paluch.

– Mówimy o postaci literackiej z powieści z gatunku fantastyki, pan tymczasem zachowuje się tak jakby to była żywa osoba, którą ja skrzywdziłem. Obawiam się, że zbyt przejął się pan tą historią. Zalecam większy dystans i być może seans u psychoterapeuty, albo jeszcze coś innego. Seans z prostytutką. Może to wypełni panu pustkę. Teraz proszę zostawić mnie w spokoju, bo będę musiał poprosić właściciela, aby wezwał ochronę.

To mówiąc zniknął za ciężkimi, drewnianymi drzwiami, które zamknęły się twardym szczęknięciem.

Maciej stał przez chwilę w miejscu zastanawiając się czy wrócić do sali i porozmawiać z innymi o książce i autorze. Gdyby okazało się, że podzielają jego opinię, próbowaliby namówić ich, aby razem naciskali na Kowalika i jego wydawcę, przyparliby ich do muru wymuszając napisanie drugiej części. Szybko porzucił ten zamiar. Obojętność sali na jego pytanie podczas spotkania nie rokowała nadziei na realizację takiego scenariusza.

Szarpnął za drzwi i wyszedł na zewnątrz. Łagodny chłód wiosennego wieczoru był jak balsam po dusznym pomieszczeniu Ameby. Właściciel oszczędzał na klimatyzacji.

Rozejrzał się dookoła. Po lewej zauważył jak Kowalik wsiada do swojego samochodu. Czym prędzej dopadł zaparkowanego przy chodniku własnego auta. Dziesięcioletnie suzuki swift ostatnio zaczęło sprawiać problemy, ale tym razem spisało się dobrze zapalając bez problemu. Ruszył za volkswagenem golfem Kowalika obawiając się, że kiedy ten doda gazu zostawi w tyle jego przestarzałego „japończyka”, wyprodukowanego na Węgrzech. Na jego szczęście kierowca miał na koncie piwo, więc starał się jechać maksymalnie wzorowo, sztywno przestrzegając ograniczeń prędkości w mieście. Maciej, który na spotkaniu pił tylko colę, mógł zawiadomić Policję, że jest świadkiem jak obywatel pod wpływem alkoholu prowadzi samochód, ale nie o to mu chodziło. Chciał dowiedzieć się gdzie mieszka Kowalik.

Ten, będąc „po kuflu”, wybrał dłuższą drogę do domu za to wiodącą przez spokojniejsze ulice, na których wieczorem ruch samochodowy był niewielki. Długo kluczył po uliczkach Starego Miasta, następnie Jeżyc, cały czas utrzymując przepisową prędkość i grzecznie zwalniając przed każdym przejściem dla pieszych. Wreszcie śledzony obiekt dotarł do ulicy Nad Wierzbakiem, z której skręcił w aleję Wielkopolską i zatrzymał się przy swojej posesji.

Kiedy Maciej zauważył, że volkswagen skręca z ulicy na chodnik i zatrzymuje się przed bramą, natychmiast zwolnił i skręcił w najbliższą poprzeczną uliczkę, odchodzącą od alei Wielkopolskiej. Zatrzymał samochód przy krańcu, wysiadł i ostrożnie podszedł do narożnika ulicy. Wyjrzał zza rogu. Dostrzegł samochód znikający za ogrodzeniem. Masywna, stalowa brama, sterowana automatycznie, powoli zasuwawała się za nim.

Przeszedł przez ulicę. Przeciwnie pasy ruchu alei przedzielone były ścieżką spacerową z obu stron osłoniętą wysokimi, rozłożystymi kasztanowcami. Idący sobie wśród drzew przechodzień był powszechnym zjawiskiem w tym miejscu i nie budził nawet odrobiny podejrzeń. Maciej utrzymując spacerowe tempo, doszedł na wysokość domu, pod, który zajechał Kowalik. Za ogrodzeniem dojrzał gasnące światła volkswagena w ciemnościach wolnostojącego garażu. Po chwili z garażowego mroku wyłoniła się sylwetka Kowalika. Odczekał jeszcze aż wrota opadną z góry na dół, chcąc upewnić się, że jego golf „szóstka” jest bezpieczny. Ospałym krokiem ruszył do drzwi domu, który okazał się niedużą, zgrabną willą w kremowym kolorze. Górny poziom schowany był pod spadzistym brązowym dachem. W tej części miasta, nazywanej Sołaczem, stały niemal wyłącznie wille pamiętające czasy dwudziestolecia międzywojennego, często nawet wcześniejsze. Dom Kowalika był zdecydowanie współczesny, lekko tylko nawiązujący do sąsiadującej zabudowy.

Maciej minął budynek, uważnie lustrując otoczenie. Przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w drogę powrotną do swojego samochodu. Przechodząc obok posesji Kowalika spoglądał kątem oka nie odwracając głowy. W oknach zasłoniętych roletami nie był w stanie niczego dojrzeć. Przy furtce zainstalowano wrzutkę na listy i gazety, a przy domofonie widniały dwie osoby – Marianna i Albin Kowalik. Miał pewność, że tu właśnie mieszka. Prawdopodobnie z żoną.

Następnego dnia z samego rana wysłał list priorytetowy do Kowalika pod jego domowy adres. Napisał, że jeszcze raz gorąco prosi o dopisanie drugiej części, w której Weronika zostanie lepiej potraktowana, dodał, że jej postać zasługuje na to i wyraził uznanie dla autora za stworzenie tak realistycznej postaci, którą niemal słyszy się, czuje obok siebie, a czytający mężczyzna nabiera ochoty na bliższą znajomość. Zostawił w liście swoje namiary telefoniczne i mailowe. Nie otrzymał odpowiedzi. Wysłał drugi list w podobnym tonie. Tym razem otrzymał odpowiedź. Bardzo specyficzną. W jednym z tabloidów znalazł wywiad z Kowalikiem, w którym opowiadał o dziwnych listach od tajemniczego czytelnika, próbującego wymusić na nim, co powinien napisać. Odgrażał się, że nie wystraszy się szaleńca.

Maciej spróbował innej formy kontaktu. Zaczął się przed jego domem. Nie wiedząc, o której Kowalik zwyczajowo wychodzi, zerwał się skoro świt i zjechał na aleję Wielkopolską o piątej nad ranem. Zaparkował jakieś dwadzieścia metrów od granicy posesji. Czekał bardzo długo, nastawiając głośno radio, aby nie zasnąć. O dziewiątej podjechała taksówka. Po chwili zza furtki wyłoniła się wysoka kobieta w średnim wieku. Czarne włosy upięte w kok. W ciemnej kolorystyce utrzymany był również jej ubiór, popielata bluzka, czarna namarszczona suknia do kostek, i lakierki na niskim obcasie. Wsiadła do taksówki. Maciej schylił się, kiedy przejeżdżała obok jego samochodu. Czekał dalej.

Po godzinie na progu willi stanął Kowalik. Beżowa marynarka, brązowe spodnie, biała koszula, krawat. Na oczach duże, przeciwsłoneczne okulary. Tradycyjnym sflaczałym krokiem podszedł do garażu i pilotem otworzył drzwi, a promienie słońca odsłoniły tył srebrzystego golfa. Ponownie użył pilota, rozległo się charakterystyczne piknięcie i samochód mrugnął światłami informując, że jest otwarty. Wsiadł do auta, wyjechał z garażu, zamknął drzwi, następnie uruchomił bramę ogrodzenia i cofał powoli wyjeżdżając na chodnik, kiedy drogę zjechał mu samochód Macieja. Kowalik twardo zahamował. Spojrzał na lusterko klnąc soczyście. Maciej wysiał, podszedł do golfa i pochylił się przy szybie. Kowalik opuścił ją i już otwierał usta, aby wyrzucić z siebie potok nieprzyjemnych słów, ale zastygł. Rozpoznał człowieka ze spotkania w Amebie i skojarzył go z listami.

– Czy mogę zająć panu trochę czasu? – zapytał Maciej najuprzejmiej jak potrafił. – Bardzo mi na tym zależy.

– Wypierdalaj stąd, psycholu – wycodził przez zęby Kowalik purpurowiejąc na twarzy.

– Wysłałem do pana dwa listy, ale nie otrzymałem odpowiedzi – kontynuował niezrażony Maciej.

– I nie dostaniesz – warknął Kowalik. – Potrzebujesz psychiatry i jemu pokaż swoje listy, a teraz zejdź mi z drogi, bo wezwę policję.

– Nie mam wobec pana złych zamiarów. – Maciej uniósł w górę obie ręce.

– Spierdalaj! – wrzasnął Kowalik.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Maciej zrozumiał, że z takim nastawieniem autora niczego nie wskóra. Wrócił do samochodu i zjechał z drogi Kowalikowi, który znowu na niego krzyknął.

– Chcę widzieć jak stąd odjeżdżasz! Teraz! Jeżeli nie wzywam policję. Ta pani będzie świadkiem. Jest moją sąsiadką.

Dopiero teraz Maciej zauważył staruszkę z bladym pieskiem rasy chihuahua, która przyglądała się całej scenie. Na jej twarzy malował się wyraz często występujący u staruszek, które widzą niezrozumiałe dla siebie zdarzenie – strach pomieszany z nieufnością i podejrzliwością, a jednocześnie niepohamowana ciekawość. Pies wyszczerzył w jego kierunku małe ząbki i zaczął ujadąć. Mając przeciwko sobie dwójkę, a nawet trójkę włączywszy psa, potwornie jazgotliwego, wołał ewakuować się. Nic nie osiągnąwszy, niewyspany, pojechał do pracy zastanawiając się jak wytłumaczy swoje spóźnienie. Na drugi dzień Kowalik nie zapomniał pochwalić się w tabloidzie, że dziwny czytelnik nawiedził go osobiście.

Jeszcze jedną próbę Maciej podjął w następnym tygodniu. Wziął w pracy dzień wolnego i przed dziewiątą zajechał na Aleję Wielkopolską. Aby nie zostać zdekonspirowanym nie wziął swojego samochodu tylko małego peugeota z wypożyczalni. Zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy przy Parku Wodniczki. Punktualnie o dziewiątej przed ogrodzenie zajechała taksówka i wsiadła do niej kobieta, którą widział za pierwszym razem. Marianna Kowalik? Tak przynajmniej zakładał z dużą pewnością siebie. Taksówka skierowała się do ścisłego centrum miasta. Zatrzymała się przy narożniku Fredry i Gwarnej, gdzie kobieta wysiadła. Maciej zaparkował samochód wzdłuż chodnika i gdy tylko kobieta zniknęła za narożnikową kamienicą pobiegł, aby nie odeszła zbyt daleko. Kiedy znalazł się na Gwarnej, śledzony obiekt wchodził pod arkady ciągnące się po prawej strony ulicy. Po chwili znalazł się tam i Maciej. Pomogło mu, że w tym miejscu był przystanek tramwajowy. Udając, że sprawdza rozkład jazdy obserwował jak kobieta otwiera drzwi do małego sklepiku z biżuterią artystyczną i innymi ozdobami. Tutaj pracowała. Podeszedł do niej i przedstawił się. Zachowała kamienną, surową twarz, bladą od grubej warstwy makijażu. Z oczu biła mroząca niechęć.

– To pan jest tym człowiekiem, który nachodzi mojego brata.

Brata? Więc to rodzeństwo?

– Nie nachodzę – wydusił z siebie, kiedy minęło zaskoczenie. – Próbowałem porozmawiać z pani bratem, ale nie chciał mnie wysłuchać.

– To oznacza, że nie ma zamiaru rozmawiać z panem, więc proszę zostawić go w spokoju – jej słowa padały niczym rozkazy dowódcy garnizonu.

– Może pani przekona brata do napisania kontynuacji ...

– Pan naprawdę powinien się leczyć – wykrzywiła twarz. – Proszę natychmiast odejść, bo bardzo pan tego pożałuje.

Weszła do sklepiku i zamknęła drzwi przed nosem Macieja. Wrócił do swojego mieszkania wściekając się, że źle to wszystko rozegrał, zbyt natarczywie. Przestraszył Kowalika i jego siostrę. Cały dzień przesiedział w domu rozmyślając nad swoim stanem emocjonalnym. Być może oboje mieli rację? Powinien udać się do psychiatry i dać spokój ludziom, którzy w niczym mu nie zawinili. Ilekroć przychodził mu na myśl taki zamiar, zawsze jego umysł przypominał sobie o Weronice. Czuł jej obecność, jak mówi do niego czule, wyciąga w jego kierunku ramiona, prosi o pomoc. Postacie literackie nie istnieją w rzeczywistości. Więc dlaczego zachowywał się jakby żyła i potrzebowała jego pomocy?

Widział jej zapłakane oczy i smutną twarz. Wiedział, że musi jeszcze raz spróbować. Poprosi Kowalika o napisanie szczęśliwej dla niej kontynuacji, a jeśli ten będzie się upierał, zaproponuje przeniesienie praw do napisania drugiej części i sam to zrobi. Doszedł do wniosku, że to będzie dla niego najlepsza terapia. Uspokoi się i przestanie dręczyć Kowalików.

Wieczorem jeszcze raz udał się do domu rodzeństwa. Tym razem zabrał ze sobą bukiet białych róż dla siostry i butelkę wina dla wszystkich. Liczył na stworzenie sympatycznej atmosfery, w której będzie można porozmawiać. Przyjechał tramwajem, przystanek mieścił się niemal na wprost willi Kowalików, podszedł do furtki i nacisnął dzwonek. Wobec braku odpowiedzi nacisnął jeszcze raz. W oknach willi dostrzegł słabe światło, zakładał, więc, że ktoś jest w domu. Z drugiej strony ludzie często zostawiali zapalone światła, aby potencjalni złodzieje nie byli pewni czy dom jest pusty. Dopiero po trzecim dzwonku domofon zacharczał i odezwał się zniekształcony przez trzaski głos Albina.

– Kto tam?

Przedstawił się i szybko dodał, że przychodzi przeprosić za swoje zachowanie, przynosi kwiaty i wino.

– Jeszcze panu mało? Napastuje pan mnie i siostrę! – grzmiał przez domofon Kowalik.

– Nie mam zamiaru nikogo napastować, chciałem porozmawiać o pańskiej powieści.

– Ale my nie chcemy, nie rozumie pan? – pieklił się Kowalik. – Dlaczego nie da pan nam spokoju? Nie wyleczymy pańskich problemów.

– Mogę sam napisać drugą część, jeżeli wyrazi pan zgodę. – Maciej chwycił się ostatniej deski ratunku.

Domofon przez chwilę milczał.

– Więc o to ci chodzi. Chcesz wykorzystać moją pracę, ty niespełniony pisarzyno!

– To nie tak... – chciał dodać, że zrezygnuje z wszelkich wynagrodzeń i będzie to jedyna książka, jaką ma zamiar w życiu napisać.

– Odczep się od nas! – Kowalik nie dawał mu dojść do głosu.

Domofon zamilkł, ale wkrótce rozległ się inny dźwięk. Maciej znał go dotychczas tylko z amerykańskich filmów i zazwyczaj oznaczał, że z tyłu zaczął się policyjny samochód. Odwrócił się i rzeczywiście stał przed nim radiowóz, ale nie amerykański, tylko polski, w srebrzystym kolorze z niebieskim pasem biegnącym przez całą długość samochodu. Wysiadło z niego dwóch funkcjonariuszy w nowych granatowych mundurach, które najwyraźniej dodawały im animuszu i pewności siebie.

– Dobry wieczór – przywitał się służbowo jeden z nich. – Dowód tożsamości poproszę.

PIERWSZE WSPOMNIENIE

Spienione morskie fale zakryły ostatnie fragmenty lądu. Patrząc na to wyjątkowe widowisko z wysokości dwóch tysięcy metrów odczuwali niepokój i nostalgię.

Ich świat przestał istnieć.

Nie było już odwrotu.

Na szczęście mieli dokąd się udać.

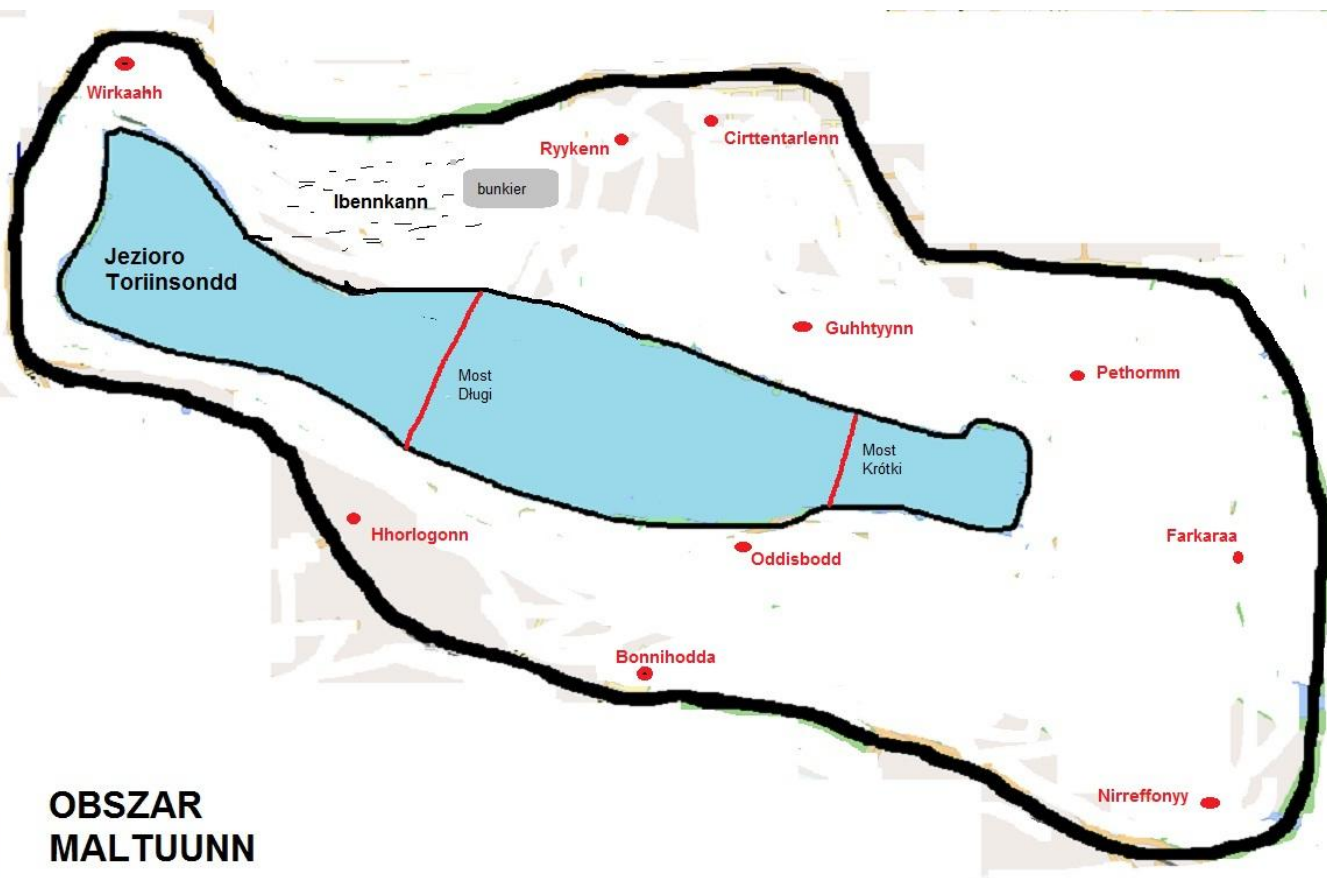
Wiedzieli, że nowe miejsce jest tak bardzo inne od dotychczasowego, ale po przystosowaniu się będą mogli żyć jak dotąd, a może nawet lepiej. O to przecież chodziło.

Osoba, której to zawdzięczali była z nimi na pokładzie. Kto inny mógł dowodzić ostatnim patrolem. Uznawali ją za swoją przywódczynię. Nie tylko teraz w powietrzu. Dla nich była już przewodniczką całej populacji. Gdyby nie ona zapewne byliby teraz tam w dole oczekując na kataklizm. Wpatrywali się w nią gotowi na każdy sygnał, na wykonanie wszystkich jej rozkazów.

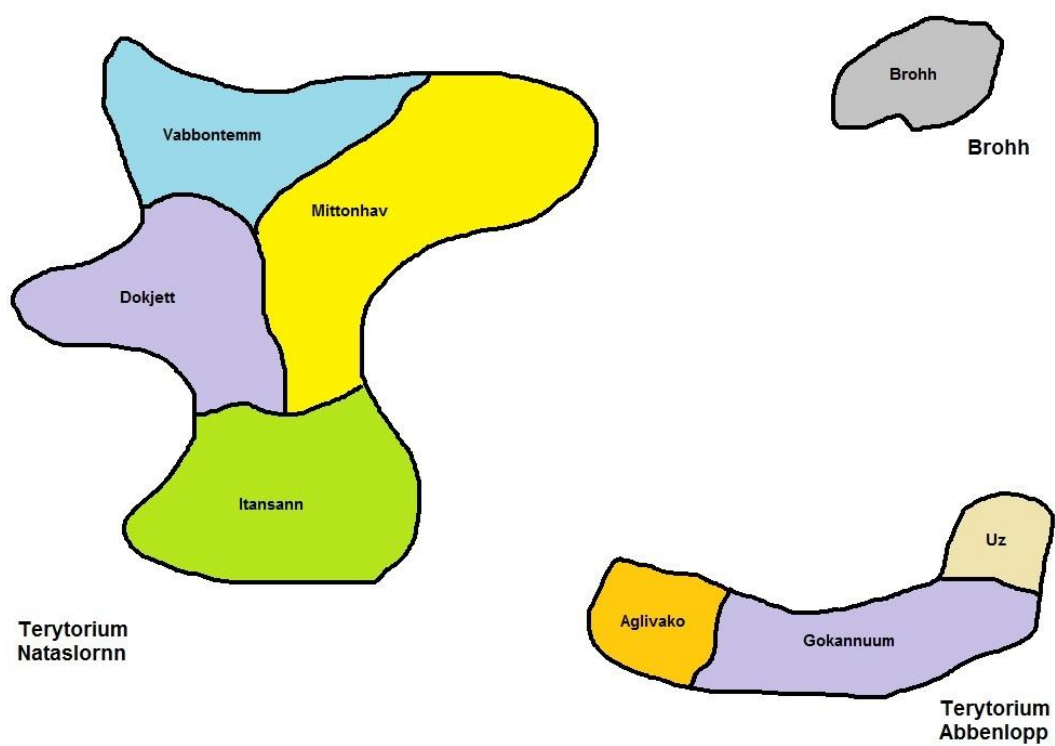
– Melduję zakończenie dekompozycji – lekko załamujący się głos jej zastępcy przerwał ciszę oczekiwania. – Efekt całkowity.

– Widzę. – Rozejrzała się po wpatrzonych w nią twarzach. – Dziękuję wszystkim za współpracę. Kierujmy się do celu. Do naszego nowego lądu.

Nie miała problemów z przystosowaniem się. Ona już się tam zadomowiła. Co z tego, że warunki tak się różniły. Poradzą sobie z każdym problemem. Są przecież wyjątkowi. Z pewnością, dlatego odkryli owo wyjątkowe miejsce, w którym znajduje to, co najważniejsze, co dobrze już znali, dzięki czemu powstał, istnieli i przetrwali.



Świat Źródła





Olaf Tumski (pseudonim) mieszka w Poznaniu i dobiega czterdziestki. Pracuje jako dziennikarz i pisze o codziennych, zwyczajnych, miejskich sprawach. O rzeczach niezwykłych pisze w swoich e-bookach, których dotąd ukazały się trzy. W jego książkach zjawiska tajemnicze i mistyczne kryją się w przyziemnej, szarej rzeczywistości oraz w pozornie banalnych przedmiotach. Wystarczy je tylko zauważyć, ale tylko nieliczni posiadają takie zdolności. W książce „Wymyślony” główni bohaterowie odkrywają zaskakujące możliwości swoich umysłów, a wszystko w scenerii patologicznie skomercjalizowanego państwa. W „Dwunastej warstwie” stare fotografie wykraczają daleko po za swoje tradycyjne znaczenie. Nawet w zbiorze opowiadań dla dzieci – „Tomkowe historie” - pięcioletni chłopiec spostrzega, że może nawiązywać kontakt z niecodziennymi zjawiskami i obiektami. Nie inaczej jest w najnowszej powieści „U Źródła”.

Blog autorski: olaftumski.blogspot.com

Patronat medialny:

